№ 48. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna № 26.

Warszawa, dnia 16/(28) Listopada 1891 r.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

JESIENIĄ.

Umilkły tony piosnek już,
Śpiewaki odleciały,
Przygasły blaski złotych zórz,
Posmutniał dzionek biały.

Znów z zapłakanych nieba lic
Łez popłynęły rzeki,
Wśród pustych niw nie słychać nic,
Szum tylko wód daleki.

Niebieski lazur przywdział płaszcz
Posępny i ponury,
Deszcz z ołowianych leje paszcz,
Dokoła — mgły i chmury.

I ostygł złoty słońca wzrok,
I życia już nie budzi,
Dokoła chłód, dokoła mrok...
Ostygły serca ludzi.

Selim.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

— Pięć córek!

— Jak jedna, i niczego sobie dziewczęta; młodzież do nas przyjeżdża, czasem się bawią... Ha! ha... jest o czem pomyśleć, pięć wypraw, pięć posagów, pięć wesel, a najtwardszy orzech do zgryzienia pięć posagów.

— Proszę pana — wtrąciła pani Michałowa, — posagi nie są niezbędne.

— A jakże?

— Żenią się ludzie i bez posagów z miłości.

— Z miłości! Chce pani wiedzieć jakie jest moje zdanie? Ja kombinuję poprostu: sama miłość, samo głupstwo, z posagiem miłość, inna rzecz.

— Pan twierdzi że miłość głupstwo, alež to herezya!

— Być może; ale ożenić się bez funduszów i niby to z wielkiej miłości unieszczęśliwić ukochaną kobietę, skazać ją na ciężkie życie, na brak wszystkiego, na zmartwienia, to, pani dobrodziejko, pomojemu nie herezya, ale takoż paskudztwo.

— Więc, podług pana, każdy młody człowiek powinien ubiegać się o posag?

— Dlaczego każdy? Który bogaty, to nacóż mu posag, a który biedny, na cóż mu jeszcze większa bieda? Tak mi się zdaje.

Dziwirejko pożegnał państwa Michałów bardzo serdecznie.

— Może ja tu jeszcze będę, a może i nie będę, to już od Stasia zależy; on przyjedzie mniej więcej za tydzień.

— Więc — spytał pan Michał, — przez ten czas ze sprzedażą mam się wstrzymać?

— A chowaj Boże, dlaczego? Trafi się kupiec, zechce dobrze zapłacić to i owszem, sprzedać. Dla mego Stasia piasku na świecie nie zabraknie.

Nazajutrz i przez kilka dni następnych pan Michał nie miał ani chwili czasu. Ciągle ktoś był, amatorowie kupna folwarku w dobrej glebie wciąż się zgłaszali.

Jednym z pierwszych był pan Pinkus Leichtenluft, bardzo wspaniały obywatel, ubrany po europejsku, z ogromnym złotym łańcuchem od zegarka i z pierścieniami na wszystkich prawie palcach.

Ten wprost do rzeczy przystąpił.

— Ja panu dobrodziejowi co powiem, że wcale nie będę pola oglądał, dlatego że choćbym nawet oglądał, to byłoby to samo cobym i nie oglądał, bo ja nie jestem na taki interes znawca. Nie mogę się pochwalić.

— W takim razie nacóż panu folwark.

— Mnie? co mnie po folwarku, Bogu dzięki nie jestem ani szlachcic ani kura, żebym miał w ziemi grzebać. Ja tylko przyjechałem obejrzeć, jaki to jest dom, jaki ogród, jakie letnie wygody.

— Więc chciałby pan tu zamieszkać?

— I to nie. Ja mam dwa mieszkania, zimowe na Dzikiej ulicy, bardzo ładne, i letnie w Sielcach, za Belwederską rogatką, też eleganckie. Ja mam dużo interesów, to nie mogę szukać świeżego powietrza o pięć mil drogi za Warszawą, kiedy je znaleźć można za rogatką. Czas to jest bardzo kosztowny towar dla nas, handlujących.

— Więc właściwie cóż pana tu sprowadziło?

— Ja panu chcę nastręczyć kupca, potrzebuję tylko wiedzieć jaka cena i jaki procent faktornego pan da? Hypotekę ja obejrzę w Warszawie.

— Wyraźnie napisałem w ogłoszeniu, że pośrednictwo jest wyłączone.

— Czytałem.

— Więc.

— To nic nie znaczy, a niepotrzebnie powiększa koszt ogłoszenia. Pan dobrodziej jest bardzo niepraktyczny i widać nigdy majątkami nie handlował. Żadna własność nieruchoma bez pośrednictwa nie da się sprzedać.

— Czy tak?

— Jak dwa a dwa cztery. Pan dobrodziej, jako właściciel kamienicy, powinien coś o tem wiedzieć.

— Zkąd pan wiesz, że ja jestem właścicielem domu?

— Wiem i znam ten dom doskonale, bardzo dobry dom. i to też wiem, że go pan nie ma chęci sprzedać, i to wiem, że wrazie potrzeby miałbym na pański dom amatora, i to wiem jakim sposobem pan ma ten folwark, wszystko wiem.

— Mój panie, na cóż panu te wiadomości?

— Łaskawy panie, każdy musi z czegoś żyć; pan dobrodziej żyje z tego co ma, ja żyję z tego co wiem. To jest mój proceder. Ja panu radzę, niech się pan pośrednictwa nie wyrzeka, o procent dla mnie się nie targuje, a przekona się pan, że znajdę takiego amatora, co się wpichnie w pański folwark po sam nos i będzie siedział, dopóki go nie wyrzucą. Mam właśnie takiego. Sprzykrzyło mu się odcinać kupony od listów, chce się teraz bawić kapustą, kartoflami i innem zielem, chce być gospodarz. Bardzo dobrze, niech on sobie będzie gospodarz, my oba nie dołożymy do tego interesu, owszem, możemy dobrze zarobić. Niech my zarobimy.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł pan Michał.

Leichtenluft spojrzał na zegarek.

— Aj... czas na pociąg... pan dobrodziej potrzebuje mi powiedzieć dwa słowa i interes gotów. Ja tego amatora za parę dni sprowadzę.

Gdy już był za bramą, zsiadł z bryczki i śpiesznie na ganek do pana Michała przybiegł.

— Co się stało? czy pan co zostawił?

— Nie... tylko zapomniałem powiedzieć jedno słowo.

— Słucham pana.

— Jak się interes załatwi, to, prócz wszystkiego, pan mi zwróci za cztery bilety kolejowe i za dwie furmanki.

— Za jakie cztery?

— Jeden co przyjechałem, jeden co odjadę, a dwa za to, co znów przyjadę i odjadę.

— Tylko o to się pan z drogi wrócił?

— Każdy interes, panie, potrzebuje być dobrze obgadany, żeby przy rachunku nie było żadnej kwestyi.

W parę godzin po odjeździe Leichtenlufta przybyli dwaj panowie, elegancko ubrani, nadzwyczaj pewni siebie, przedstawili się jako bracia Kolerowie, kapitaliści, poszukujący majątku.

Starszy z nich, łysy z ogromnemi wąsami jegomość, odrazu do rzeczy przystąpił.

— Obejrzeć pragnę — rzekł, — zabudowania, pola, łąki, słowem wszystko, bo nie lubię kota w worku targować. Pan łaskawy może nam raczy dać człowieka.

— Owszem, bardzo chętnie, sam nawet pójdę z panami.

Pan Michał posłał po Walentego i udał się z gośćmi na pole; szli granicami.

— Ziemia tu wcale niezła—rzekł starszy brat,— dużo też pszenicy pan wysiewa?

Pan Michał chciał odpowiedzieć, ale Walenty go uprzedził.

— Jaśnie panie — rzekł, kłaniając się aż do ziemi, — grunt u nas dorodny, wszystko na nim będzie, zresztą nie mam co dużo gadać, bo widzę, że jaśnie pan znawca.

Wąsacz głową kiwnął.

— Jakbyś wiedział, mój człowieku, żem znawca, gospodarowało się tu i owdzie, ale jakże z tą pszenicą?

— Dziedzic ten, co niby przed teraźniejszym panem był, okrutnie zbiedniał i nie miał czem pola obsiać, dlatego, jaśnie panie, pszenicy tak jak nie ma...

— Aha, rozumiem. To trudno i gdybym ja ten folwark kupił, tobym zaraz zasiał ze sto korcy pszenicy.

Walenty uśmiechnął się nieznacznie, ale nie przeczył, szedł granicą i pokazywał drogę. Starszy pan Koler przyglądał mu się bardzo bacznie.

— Słuchaj-no, człowieku, — rzekł po chwili, — kto u dyabła uszył ci taką szkaradną kapotę?!

— Kapotę — zapytał zdumiony Walenty, — niby jaką kapotę?

— Tę, którą masz na sobie. Kto ci ją uszył?

— A dyć, jaśnie panie, Żyd.

— Zaraz się tego domyśliłem.

Pan Michał spojrzał zdziwiony. Co krój kapoty Walentego mógł obchodzić tego pana?

Po obejrzeniu pól, łąki i całego folwarku, pan Michał zaprosił obu braci do dworku, żeby odpoczęli trochę i posilili się po długim spacerze. Bracia bardzo chętnie zaproszenie przyjęli, ale zachmurzyli się dość dziwacznie; starszy wpatrywał się nader bacznie w marynarkę pana Michała, młodszy, wszedłszy do pokoju, dotknął ręką kanapy i poprawił firankę w oknie, która fałdowała się niedobrze. Dopiero przed samym wyjazdem tych panów dowiedział się pan Michał, że jeden z nich jest krawcem, a drugi tapicerem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wyjaśnienie konieczne.

Odebraliśmy świeżo list pisany przez pana Teofila P. w kwestyi tak zwanej emancypacyi kobiet, pełen obawy, iż skoro niewiasty mają być doktorkami, prawniczkami, kancelistkami, fabrykantkami a chyba i... żołnierzami, to komuż zostanie panowanie przy domowem ognisku, rząd rodzinny, gospodarka, to wszystko, co dotąd spoczywało w rękach kobiet, a co je czyniło tak niezbędnemi i miłemi mężczyźnie? „A dom nasz? — zapytuje pan P. — a dzieci nasze, a my z kim zostaniemy, gdy żonę wezwą do chorego, do apelacyi lub do biura?"

Otóż to pytanie wymaga odpowiedzi wyjaśniającej.

Przedewszystkiem należy pamiętać, że liczba kobiet wszędzie olbrzymio wzrasta. Ztąd idzie i wzrost liczby kobiet niezamężnych, starych panien, istot najnieszczęśliwszych pod słońcem, gdy los daje im sieroctwo i opuszczenie. Świeżo w Austryi obliczono liczebną przewagę kobiet nad mężczyznami; wyraża się onaw cyfrze potężnej 1,500,000! W przybliżeniu (ponieważ stosunek taki panuje prawie we wszystkich krajach Europy) można przyjąć, iż na samę tę część ziemi przypada kilkanaście milionów kobiet więcej niż mężczyzn i że z tej liczby połowa skazana jest na całożyciową samotność, która prowadziłaby za sobą nędzę wszelakiego rodzaju, gdyby się temu wszystkiemi siłami nie zapobiegało.

Z drugiej strony i to się godzi mieć na pamięci, że położenie rodzin wogóle staje się materyalnie coraz cięższem i że temu zaradzić może jedynie praca wspólna wszystkich członków rodziny, zdolnych do niej przez wiek i odpowiednie przygotowania. Już dzisiaj, niestety, nie nastarczają bytowi rodzinnemu siły ojca i męża. Wszyscy tedy troskać się muszą o chleb na jutro, zarówno mężczyźni jak kobiety, wszyscy muszą najpierw do pracy się gotować, a następnie i pracować. To, aby kobiety były doktorkami, adwokatkami i t. p. nie jest bynajmniej kapryśnym wymysłem teoretycznego postępu, lecz naturalną koniecznością.

Dlatego, aby szanowny nasz korespondent w chwili powrotu do domu po trudach dziennych spotykał na jego progu uśmiechnięte oblicze małżonki i jej miękkie rączki, wyciągające się do uścisku, nie można przecież kilkunastu milionów kobiet skazywać na nędzę i opuszczenie, a o tem, aby ktoś namawiał matki i żony do porzucania męża, dzieci i domu nie słychać nawet. Jeżeli się żąda dla nich wykształcenia, możności zarobkowania wraz z mężami, to żąda się tego właśnie dla dobra rodzinnego. Gdy mąż znajduje pomoc ze strony tych rączek ukochanych, które przecież Bóg stworzył nie do samych pieszczot, gdy dzieci w matce widzą wykształcenie a w każdem jej słowie światło wiedzy, gdy dom w pani swej ma gosposię myślącą, przewodniczkę przygotowaną przez znajomość wielu rzeczy, których samo doświadczenie nie uczy, albożto może być krzywdą dla nich? Kobieta, patrząca wyżej ponad wszystkie błahostki życia towarzyskiego, sięgająca myślą poważną w sferę spraw ogólniejszych, nie będzie wprawdzie wypieszczonem dzieckiem na posterunku rodzinnym (wielu mężczyzn pragnie ją mieć tem tylko), ale nie będzie też jedynie przystrojoną lalką, żądną zabaw i rozrywek z samych nudów i z pustki umysłowej, kapłanką fałszywej świetności i zbytku, który rujnuje męża i dzieci.

Niema przytem obawy, aby najświętsze z powołań niewieścich, powołanie żony i matki, świętem i upragnionem kiedykolwiek dla kobiet być przestało. Niema też z pewnością ani jednej kobiety na ziemi, któraby je na inne zamienić chciała, któraby innego na nie nie zamieniła z radością. Przecież to głos natury, za którym się idzie bezwiednie, jak za porywami własnego serca i umysłu! Jakże się to często widuje, że panna zamożna, którą kształcono wszechstronnie, której wrodzone zdolności rozwijano kosztownie, która przywykła do życia świetnego, do zabaw, do tysiącznych przyjemności, gdy potem zostaje żoną i matką, nad kołyską dziecięcia zapomina o wszystkiem; rzuca zabawy, nie pragnie towarzystwa, zaniedbuje „talenta:" dom i rodzina są dla niej skarbem najcenniejszym.

Te instynkta wrodzone odezwałyby się w każdej kobiecie, gdyby ich nie głuszono złem wychowaniem, złemi przykładami. A właśnie staranne wy-

kształcenie, nauka, cele poważne życia nie mogą instynktów tych tłumić, muszą je potęgować. Dlatego też niema strachu, aby kobieta, pojmowana w duchu tego postępu, wynaturzyła się, by uciekała przed rodziną i domem, by porzuciła nas, pana, szanowny korespondencie, mnie i wszystkich zresztą, umiejących cenić skarby serc niewieścich.

Sprawa „emancypacyi" kobiet, jak każda inna wielka i doniosła, a więc do przeprowadzenia trudna, w początkach swoich była, na podobieństwo gotującego się rosołu, pokryta warstwą... szumowin i zamącona zgrzytami.

A to dlatego, że nowe ideje czepiają się najpierw umysłów śmiałych, rezolutnych, lekceważących sobie utarte opinie i pozory. Działo się więc, że pionierkami jej bywały kobiety niekoniecznie mające prawo do jakiegokolwiek przewodnictwa. Na szczęście znajdowały się między niemi i inne, a te z początkowania niefortunnego potrafiły myśl czystą i podniosłą przenieść do umysłów szlachetnych i szlachetnie ją pojmujących. Zdaje się że takie właśnie umysły w dzisiejszej pracy emancypacyjnej stanowią znakomitą większość.

Już też dzisiaj kwestya ta traktowana jest daleko poważniej, niż w początkach. Wiele, bardzo wiele kobiet pracuje ze wszystkich sił, kształci się, uczy, zdobywa stopnie uniwersyteckie i nie dąży wcale do rozbijania związków rodzinnych, nie szydzi z urządzeń fundamentalnych społeczeństwa, ale gorąco służyć mu pragnie ofiarą poczciwego trudu.

Sprawa emancypacyi kobiet ma wiele przeciwników i przeciwniczek nawet, raz dlatego że ją kompromitowano często niedorzecznością celów i dążeń, a powtóre że trafia podziśdzień na twarde szkopuły tkwiącej w umysłach zachowawczości, która sprzeciwia się wszystkiemu, co wybiega poza utarty szablon dnia wczorajszego. Ale wmiarę czasu szkopuły te usuwać się i niknąć będą, a tem pewniej i szybciej, im prędzej same kobiety pracujące i wykształcone dowiodą światu, iż emancypacya ich nie jest kaprysem dłuższej chwili, ale odzyskaniem praw przyrodzonych do niezależnego bytu i światła, nie podkopywaniem podwalin rodzinnych i społecznych, ale ich utwierdzaniem, nie walką o fikcye i wymarzone niemożliwości, lecz bojowaniem o chleb i wiedzę. Nieuprzedzone umysły przekonywają się zwolna, że tak jest, a nieinaczej, i przestają się lękać o swe żony, swój dom, swoje dzieci... Bo istotnie lękać się nie potrzeba.

Rz.

Z HISTORYI IGŁY DO SZYCIA.

Podstawą kobiecej pracy zawodowej jest igła, ta pierwotna maszyna do szycia, wynaleziona przez ludzkość. Dziś, kiedy ten maleńki przyrząd znajduje się w ręku najbiedniejszej kobiety, trudno sobie wyobrazić, że przed laty 500 — 400 igła była wielką rzadkością i spotkać się z nią było można tylko u kobiet bogatych i arystokratycznego pochodzenia, cały zaś tłum zwykłych śmiertelniczek szył przy pomocy drewnianych lub kościanych igieł.

Ciekawy ten fakt komunikuje specyalny organ cesarskiego Muzeum przemysłu i handlu w Wiedniu.

Dopiero w początkach XV wieku stalowa igła zaczyna wchodzić w powszechne użycie i przestaje być przedmiotem zbytku, ozdabiającym neseserki księżniczek.

Wyrób igły, jak się pokazało, jest w ścisłym związku z wynalezieniem sposobu wyciągania drutu, a ta napozór zwykła czynność wynalezioną została zaledwie w połowie XIV wieku, poczem długo jeszcze zdolni i wykwalifikowani robotnicy łamali sobie głowy, jakim sposobem zrobić z drutu coś w rodzaju igły. Jeden z takich druciarzy tej epoki, niejaki Tourangeau w Paryżu, przewidując, że zbogaci się na tym wynalazku, dzień i noc pracował nad udoskonaleniem swego fachu.

W każdym razie aż do wieku XVII igły były wyrabiane ręcznie, bez żadnych maszyn, i wymagały wielkiej pracy i wysiłków ze strony robotników, a wielkich pieniędzy ze strony nabywców, tak że należy sądzić, iż wówczas nie gubiono ich lub wyrzucano za okno, jak to dzieje się dzisiaj zarówno w domach prywatnych, jako też szwalniach. Że początkowo igły były bardzo drogie, stwierdzają to przechowane do dziś wyrażenia: „na igły" lub „na szpilki."

Jakiż kontrast w porównaniu z tą epoką, gdy na kupno igieł potrzeba było asygnować specyalne sumy, tworzy dzisiejsza taniość tego przedmiotu, który kosztuje jakąś cząstkę grosza zaledwie; w Londynie na przykład można dostać za 9 pensów, czyli na tutejsze pieniądze za 20 kopiejek, cały przybór zawierający ogółem 150 igieł rozmaitego gatunku, poczynając od zwykłej do szycia, a kończąc na chirurgicznej. To też rozpowszechnienie się igieł stalowych przybrało kolosalne rozmiary. Pomiędzy wyprawą francuzkiej księżniczki Beaujeu, córki Ludwika IX, znajdowała się nigdzie dotąd niewidziana nowość, paczka igieł; dziś sama Anglia i Niemcy sprzedają ich do 5 miliardów rocznie, zaopatrując w ten niezbędny przyrząd wszystkie kobiety nietylko w Europie, ale w Chinach, Japonii i na wyspach Australii.

Fabrykacya igieł w Niemczech kwitnie przeważnie w Norymberdze, w Anglii głównie w miasteczku Redditsh. To ostatnie jest prawdziwem królestwem igły, w którem do pomocy tej fabrykacyi zawezwane zostały wszystkie siły przyrody. Niektóre ze znajdujących się tam 16 fabryk są wprowadzane w ruch zapomocą pary, inne zapomocą wody, a jeszcze inne wiatrem. Liczba robotników, pracujących w tych fabrykach, wynosiła jeszcze w 1876 roku około 5,000.

Zwrócić tu trzeba uwagę, przez jaką masę rąk przejść musi igła, zanim uzyska taki kształt, w jakim dostaje się do rąk szwaczki. Pierwsze, co rzuca się w oczy, kiedy zwiedzamy fabrykę igieł, to sala, w której porozwieszane są zwoje stalowego drutu, czasem tak cienkiego, jak włos. Z tego powodu krążyła się nawet anegdota, podawana niedawno przez pisma, że przy zwiedzaniu przez królową rumuńską jednej z fabryk w Redditsh, starszy jakiś robotnik poprosił królową, aby dała mu z głowy swój włos, który za chwilę został jej zwrócony z przebitem uszkiem, a przewleczonym przez nie drugiem końcem włosa.

Gdyby rozwinąć jednę z licznych obręczy drucianych, których waga jest stosunkowo niewielka, to długość tej obręczy wyniosłaby z pewnością conajmniej milę. Jest-to właśnie ten materyał, z którego pochodzą wszystkie liczne numery igieł, poczynając od najcieńszej, do wyszywania, a kończąc na grubej, do pakowania przeznaczonej.

Przedewszystkiem drut przerzyna się na równe kawałki, odpowiednio do długości dwóch igieł; w takim stanie parzystości dokonywa się pierwsza manipulacya nad igłą, dopóki nie nadejdzie chwila, gdy bliźnięta trzeba będzie rozdzielić wcelu dalszego opracowania. Ponieważ oderznięty z obręczy kawałek drutu nie tworzy linii prostej, koniecznej dla zwykłej igły, to przedewszystkiem trzeba go wyprostować, rozgrzawszy uprzednio, aby stał się miękkim. Następnie zajmują się naostrzaniem końców z obu stron i rozrzynając drut na dwie części, oznaczają pośrodku dwa uszka i przebijają je. Po dokonaniu tego nawłóczy się te podwójne igły na cienki drut, aby oczyścić je ze stali, zapychającej jeszcze dziurki; przewleczone przez drut igły podobne są do podwójnego grzebienia, który przełamuje się następnie w połowie, rozłączając igły z parzystych na pojedyncze; następnie oczyszcza się końce i wtedy zdejmuje się je z drutu. Tym sposobem otrzymujemy stos prawdziwych igieł, niezłączonych już w pary. Ale igły te, jakkolwiek posiadają dwie niezbędne części, koniec i uszko, są dopiero ogólnym rysem i zaledwie w pewnej części opracowane, do wykończenia zaś ich ostatecznego wiele jeszcze wysiłków trzeba. Od tej chwili zaczyna się bezustannie następujące jedno za drugiem szlifowanie, przecieranie, przemywanie, przepalanie, co ma im nadawać tę gładkość i blask, siłę i giętkość, tak cenione w igle. Ogółem każda igła przejść musi przez 20—30 rozmaitych manipulacyj i im więcej im podlega, tem lepszą i droższą okaże się później.

Wynalezienie niektórych maszyn ułatwiło w ostatnich czasach skomplikowaną tę fabrykacyę, niepozbawioną złych następstw dla zdrowia robotników. Jakkolwiek w ogólności praca w fabrykach, o jakich mówimy, odznacza się większą czystością w porównaniu z innemi zawodami, jak na przykład farbiarstwem lub tkactwem, ale proces zaostrzenia igły wytwarza kurz stalowy, nader szkodliwy dla płuc; podczas gdy za granicą w wielkich fabrykach walczą z tym niebezpiecznym dla zdrowia kurzem stalowym zapomocą rozmaitych przyrządów, pochłaniających go, u nas, jak to widzimy ze sprawozdań urzędowych, zebranych przez doktora W. Światłowskiego, inspektora zakładów fabrycznych, środki tego rodzaju nie zostały dotąd wprowadzone w fabrykach igieł. W Królestwie Polskiem istnieją ogółem trzy fabryki igieł.

W Anglii, ostatniemi czasy, fabrykacyą igieł przestano już uważać za niezdrową, a robotnicy często dochodzą do 75 lat wieku; u nas zaś, według wymienionych sprawozdań, robotnicy bardzo prędko wpadają w suchoty, pomimo różnych środków, jakich używają wcelu zabezpieczenia się od szkodliwego pyłu.

Drugą ujemną stroną fabrykacyi igieł jest ciągłe wytężanie uwagi i wzroku, co wymaganem jest i koniecznem przy najłatwiejszych nawet czynnościach, jak sortowanie igieł, pakowanie ich i t. p., czem zajmują się zwykle kobiety, nabierające w tej pracy wielkiej wprawy i zadziwiającej szybkości ruchów.

Ogólna liczba kobiet w fabrykach igieł w Redditsh, jak opiewa statystyka Berana, przenosi półtora raza liczbę mężczyzn. Wiele również dzieci czynnych jest w tej gałęzi pracy. Powierza się im zwykle nawlekanie igieł na druty, do czego używa się nawet pięcioletnich chłopców, którzy, według sprawozdania pana Światłowskiego, zarabiają 2 i pół kopiejki od tysiąca nawleczonych igieł. Wogóle zarobki w fabrykach igieł są bardzo szczupłe, szczególniej u nas. Kobiety zarabiają zwykle nie więcej nad 30 kop. dziennie, płaca zaś mężczyzny, od którego wymaga się już wielkiej wprawy, jest niewiele wyższa.

W Anglii wiele czynności przy fabrykacyi igieł, przeważnie mechanicznych, dokonywa się zapomocą maszyn, które znacznie przyśpieszają rzecz całą. Tak na przykład, kiedy igły są już zupełnie gotowe i trzeba zapakować je po 25 sztuk w oddzielnie przygotowane czarne papierki i owinąć je w znane nam dobrze małe koperty z numerem ugóry, to zamiast kobiet i dzieci, którym dawniej powierzano tę czynność, używa się obecnie maszyny, która igły zawija i nakleja kartkę z numerem. Ze względu na swą zadziwiającą działalność, maszyna ta przypomina do pewnego stopnia wystawiony na ostatniej wystawie paryzkiej parowy mechanizm, który wobec publiczności odbierał z ręki posługacza zwyczajne arkusze papieru, a w chwil kilka wyrzucał gotowe koperty, upakowane w paczki a nawet pudełka.

Dzięki temu zastosowaniu siły mechanicznej w Anglii, tamtejsza fabrykacya doszła do takiej produkcyjności, że każda robocza godzina daje około miliona igieł, co czyni, licząc w roku 300 dni po 8 godzin dziennie, około 2 i pół miliardów rocznie i przypada tylko na fabryki, znajdujące się w Redditsh, nie licząc innych miast, posiadających wiele i znacznych fabryk jak Birmingham, Scheffield i inne.

Jak wiadomo, igła angielska cieszy się największem uznaniem, ale w ostatnich czasach Niemcy zaczęły wytwarzać Anglii nader silną konkurencyą na rynkach europejskich.

W Aachen znajduje się 27 fabryk igieł z 6,000 robotników, wyrabiających rocznie około 2 i pół miliarda igieł, to jest tyle, ile wypuszcza ich Redditsh. Norymberga produkuje również przeszło 2 miliardy rocznie.

Przytem Anglia dla igieł swych ma wielki zbyt w rozrzuconych po całym świecie koloniach, gdy Niemcy liczyć mogą głównie tylko na sprzedaż w Europie. Dlatego też bardzo rzecz jest możliwa, że u nas, kupując igłę angielską, nader często otrzymujemy igłę, sfabrykowaną w Aachen albo Norymberdze, i możemy tem tylko się pocieszać, że niemieckie fabryki najlepsze igły wyrabiają ze stali angielskiej, która dotąd jeszcze zachowuje palmę pierwszeństwa na wszystkich rynkach.

B.

ODCZYTY.

II.

Tło codziennych wypadków zeszłego tygodnia znowu ożywiły dwa odczyty treści popularno-naukowej, wypowiedziane w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa na rzecz kasy imienia Mianowskiego. Na sympatyczną wiązankę, splecioną z kwiatów wzrosłych na niwie przyrodniczej wiedzy, złożyły się prelekcya pana Stanisława Kątkiewicza, wygłoszona w środę „o węglu kamiennym," i sobotni wykład profesora Znatowicza „o fosforze."

Pan Stanisław Kątkiewicz z prawdziwą umiejętnością obudzania w publice zajęcia się przedmiotem przedstawił nam zpoczątku skład chemiczny, własności i historyą utworzenia się kamiennego węgla z olbrzymich paproci, skrzypów i widłaków, które w przedpotopowych czasach stroiły powierzchnię naszego globu, a następnie pod wpływem gnicia i ciśnienia naniesionych na nie olbrzymich skał osadowych (łupku), stopniowo, przez niedające się ogarnąć myślą okresy czasu, zamieniły się w nieoszacowany skarb, rzec można w czarny dyament, którego energia, skrystalizowana przed wiekami, jak olbrzymie ramię tytana porusza dziś miliony maszyn i przerzuca po sieciach dróg żelaznych płody pracy ludzkiej, skracając czas i odległości. Niknące obrazy pni olbrzymich paproci i skrzypów, rzucone na ekran, ilustrowyły tę historyczną część odczytu.

Następnie mówca kilkoma cyframi naszkicował obraz produkcyi najpotężniejszego motoru współczesnego przemysłu, zaznaczył pokolei kraje, gdzie eksploatacya węgla kamiennego doszła do największych rozmiarów, zatrzymując się nieco dłużej na rozwoju produkcyi węglowej w dąbrowskim okręgu górniczym, a wynoszącej 26 milionów korcy węgla wydobywanego rocznie z 19 istniejących tam kopalń, i przeszedł nareszcie do nakreślenia obrazu samej procedury wydobywania z łona ziemi pożytecznego minerału.

Ta część odczytu, w której szanowny prelegent okazał prawdziwą znajomość przemysłu górniczego, zapoznała nas z techniczną stroną eksploatacyi węgla, z budową szybów i przyrządów używanych w górnictwie, jak również z pracą i życiem górników, narażanych cochwila w cieniach podziemnych kopalń na kalectwa, a nawet i na utratę życia, będącą wynikiem zawalenia się labiryntu lochów, lub też wynikającą z zatrucia się zabójczemi, gazami zanieczyszczającemi powietrze podziemnego królestwa, które znakomicie ilustrował szereg niknących obrazów, przedstawiających wnętrze kopalń, szybów i górników zajętych pracą.

Na zakończenie prelegent wymienił przybliżoną cyfrę lat (400), przez które ludzkość czerpać jeszcze będzie z kamiennego węgla zapasy siły potrzebne jej do celów przemysłowych, pocieszając słuchaczów nadzieją, że potężna wynalazczość współczesnego pokolenia, zbrojna w zwiększającą się z każdym dniem ilość wiedzy, wyszuka w siłach natury nowego współpracownika, może elektryczność, zktórym nadal będzie spełniała wielkie zadanie pracy, odkrywającej ludzkości coraz to świeższe i szersze widnokręgi życia.

* * *

Zainteresowanie się publiczności rozwojem odłamu wiedzy przyrodniczej zauważyć się dało i na sobotniej prelekcyi profesora Znatowicza, czego najwymowniej dowiódł fakt szczelnego zapełnienia sali i uwagi malującej się na twarzach słuchającej publiczności.

Mówca rozpoczął wykład, oznajamiając słuchaczów z miejscem rozpowszechnienia fosforu w naturze i nadmieniając, iż pierwiastek ten znajduje się w każdem z trzech jej królestw, a ilość jego u zwierząt w kościach, mózgu i nerwach jest w prostym stosunku do ich uorganizowania fizyologicznego. Następnie, wymieniając nazwisko Brandta, który w 1669 otrzymał ten pierwiastek w stanie czystości i przedstawiwszy okazy fosforu, pan Znatowicz przystąpił do opisu samej procedury jego otrzymywania, zaznaczając iż fosfor, będący ciałem bardzo rozpowszechnionem w przyrodzie, otrzymuje się w stanie czystości drogą dość długiej i skomplikowanej reakcyi, co jest właśnie przyczyną, że ciało to stosunkowo niedawno zostało odkryte.

Do uzmysłowienia składu chemicznego fosforanu wapna, znajdującego się w kościach, z których popiołu fosfor się otrzymuje, i dla wyjaśnienia znaczenia wzorów chemicznych, szanowny prelegent posługiwał się metodą poglądową, która szeregiem kulek, zebranych w odpowiedniej ilości i zabarwionych odmiennemi barwami, wyjaśniła strukturę atomową fosforanu wapna i dała pojęcie o działaniu międzyatomowych sił przy chemicznych reakcyach prawdopodobnie najmniej nawet przygotowanemu słuchaczowi, chociaż zadanie to należy do rzędu trudniejszych i najmniej podatnych do spopularyzowania tej części chemii teoretycznej.

Przeszedłszy szczęśliwie z tej może nieco zasuchej krainy, prelegent wprowadził publiczność na drogę bardzo wdzięczną, bo ożywioną wielce zajmującemi i efektownemi doświadczeniami, do czego posłużyły mówcy wyjątkowe, chemiczne i fizyczne, własności fosforu. Widzieliśmy więc na ekranie powiększone kryształki tego pierwiastku, które dla nieuzbrojonego mikroskopem oka wydają się proszkiem bezkształtnym, a zapalenie się samoistne papieru zmaczanego w rozczynie fosforu przekonało nas o niesłychanej dążności tego ciała do łączenia się z tlenem.

Następnie wielką cechę oryginalności miało doświadczenie palenia się fosforu w wodzie, a żywy, słoneczny blask, powstały przy płonięciu tego ciała w atmosferze tlenu, należał również do rzędu efektownych doświadczeń.

Potem mieliśmy wyjaśnienie zjawiska błędnych ogników, spostrzeganych w nocy na bagnach i cmentarzach, które przesąd gminu upoetyzował obrazem pokutujących duchów, a które szanowny prelegent wywołał ze szklanej kolbki, zawierającej substancyą, z której wywiązywał się gaz fosforowodoru, zapalający się samoistnie przy zetknięciu się z powietrzem. Pokazanie obłoku pary f sforowej, świecącej w ciemności błękitno-zielonawem światłem, zakończyło szereg własności zwyczajnego fosforu, które pan Znatowicz dotykalnie przedstawił oczom słuchaczów.

Druga część odczytu zaczęła się okazaniem w innej postaci fosforu, zwanego fosforem czerwonym i posiadającego własności odmiennej natury od opisanego już pierwiastku.

Tu szanowny mówca okazał, iż zapalność tego ciała jest znacznie mniejsza od zapalności zwyczajnego fosforu, umieszczając dwa kawałki każdego z tych pierwiastków na ogrzanej metalowej tablicce i zwracając uwagę publiczności na znaczny przedział czasu, upływający pomiędzy chwilami zapalenia się obydwóch kawałków. Następnie prelegent wykazał inne przymioty fosforu czerwonego, a głównie jego nieszkodliwość przy użyciu wewnątrz, i przeszedł do zapoznania publiczności z fabrykacyą zapałek szwedzkich, niezawierających tego pierwiastku, zapalających się tylko skutkiem działania masy fosforowej pudełka na mieszaninę bogatą w tlen i materyały palne, a zebraną w główkach samych zapałek. Zaznaczywszy jeszcze kilka nazwisk, współubiegających się z sobą w historyi odkryć fosforu o palmę pierwszeństwa, zakończył przemowę wyrażeniem nadziei, iż jakkolwiek narodowość nasza nie może do rzędu cudzoziemskich nazwisk zaliczyć nazwiska choćby jednego ze swych członków, jednak spotykane dziś w dziedzinie poważnych badaczów na polu chemii polskie imiona pozwalają wnosić, że przyszłe pokolenia dorzucać będą do wiązanki zdobyczy naukowych coraz świeże z tej dziedziny kwiaty.

Br. Wyganowski.

Emil Vacano.

TESTAMENT MOJEGO STRYJA.

NOWELA

przełożyła

Wł. I.

(Dalszy ciąg.)

III.

Wieczerza odbyła się w milczeniu. Mój stryj był starcem małomównym, żółtym i suchym jak mumia, ręce mu drżały, a głowa cochwila opadała na piersi.

Wypytywał mnie o szczegóły ostatnich lat życia mego ojca, o sobie jednak nic nie wspominał, nie mówił nawet że czuł się słabym, mimo iż widziałem że życie w nim gasło z każdą chwilą. Stary Franciszek usługiwał przy stole. Znajdował się też w gabinecie stryja stary pies Medor, ze starości zaledwie mógł chodzić i miał mnótwo białego włosa na czarno matowej swej skórze.

Spoczywał on zazwyczaj pod krzesłem swojego pana, a gdy ten uderzał w stół drżącemi swemi palcami, wystukując nuty z kajetu, Medor zwolna otwierał powieki.

Jadaliśmy obiad w małym pokoju, gdzie mnie stryj przyjął. Podczas obiadu, rozpatrując się w urządzeniu izby, w kącie dostrzegłem małe organy, a na bocznym stole trzy pudła od skrzypców.

Jeden, jedyny obraz przyozdabiał ścianę; wisiał on ponad łóżkiem starca. Był to portret kobiety; głowa przystrojona pudrowanemi włosami, głowa jedynie bez biustu i gardła, pod samym podbródkiem ucięta, rysująca się wyraźnie i odstająca prawie od ciemnego tła obrazu. Stroił ją wysoki tupet pudrowany i nic więcej; twarz piękna, smutna, z oczami lekko, jakgdyby od płaczu, zaczerwienionemi. Obraz jednem słowem dziwnie tajemniczy.

Sypiałem w dużym pokoju napełnionym staremi, wyszłemi z mody meblami, urządzonym z komfortem zeszłego wieku.

Nazajutrz rano Franciszek przyniósł mi wszystko czego potrzebowałem do mej toalety, poczem nie widziałem nikogo aż do obiadu, od czasu do czasu słysząc tylko ciężkie stąpanie starego sługi.

Po rozpakowaniu bagaży, suknie umieściłem w szafie i zacząłem przeglądać książki znajdujące się w moim pokoju; następnie przygotowałem papier do swych studyów „Proteusza piekielnego i Małgorzaty Hammerling."

Punkt o dwunastej Franciszek przyszedł mnie prosić na obiad. Jedliśmy jak poprzednio w pokoju mego stryja.

Po ukończeniu, skorom chciał odejść, starzec zatrzymał mnie, prosząc abym pozostał dłużej. Siadłem na krześle obok jego fotelu. Długą chwilę trwało milczenie, wreszcie podniósł ociężale głowę i utopił we mnie wzrok gasnący już prawie, a położywszy rękę na mojem ramieniu, rzekł zwolna:

— Dobrześ uczynił, przybywszy bezzwłocznie; jestem naglony, śpieszyć się trzeba.

— Dlaczego i dokąd śpieszyć, mój stryju?

— Czyliż nie widzisz, że z każdą chwilą zamieram?...

— Lecz...

— Próżne przeczenie, nastąpić to musi. Jestem bardzo stary, śmierć na swe odwiedziny długo mi czekać kazała. Tęskniłem za nią, jak za towarzyszką, z którą mamy odbyć podróż daleką. Dziś wreszcie skończyć z tem trzeba.

Słuchałem słów starca patrząc w okno przed siebie.

Słońce jasno świeciło, lecz zaczernione szyby przepuszczały pół dzień zaledwie.

— Tak... tak — mówił on dalej, — nadeszła stanowcza chwila... lecz nieprzerywaj mi, proszę, będziesz miał dość czasu na rozmyślanie gdy ztąd odjadę, co dziś nastąpić musi nieodwołalnie.

— Odjechać... dziś? ależ...

— Nie przerywaj... prosiłem. Podobny jesteś zupełnie do mego zmarłego brata — ciągnął dalej, bacznie wpatrując się we mnie. —Jesteś poważnym, zasługującym na zaufanie człowiekiem. Od wczoraj przekonałem się, że posiadasz wszelkie przymioty, jakie pragnąłem w tobie odnaleźć. Jesteś jedynym krewnym, jakiego posiadam na świecie. Prosiłem cię ażebyś przybył ponieważ chcę ci zdać wykonanie mojego testamentu. Czuję że życie moje się kończy... zamieram; a kto uszanuje wolę umierającego, zjedna sobie łaskę przed Bogiem.

Słowa jego brzmiały uroczyście, poważnie, czułem w swym sercu całą ważność tej chwili. Słuchałem, siedząc w milczeniu.

— Jesteś godnym synem mego ukochanego brata — mówił dalej z wzruszeniem; — będąc dziecięciem lubiłem zbierać żółte kwiaty na łące, tworząc z ich łodyg łańcuchy złote, łańcuchy... które miały boleśnie kiedyś, niestety, skrępować me życie!

Przerwał, a wydobywszy zpośród kajetów leżących na stole pakiet zapieczętowany, podniósł go w drżącej swej dłoni, mówiąc:

— Dzisiaj wyjeżdżam, ponieważ nie chcę umierać w tem mieście, dlaczego?... później o wszystkiem się dowiesz. Nie przerywaj mi, Erwinie, wzrok mój zaciemnia się... oddech coraz trudniejszym się staje, w palcach nic już utrzymać nie mogę, a nogi się chwieją podemną.

— Ależ, mój stryju, dlaczego chcesz?...

— Zostaniesz tu! — przerwał z wysileniem, ściskając pakiet w ręku, — będziesz tu żył i mieszkał. Siostra Franciszka usługiwać ci będzie. Prócz tego, co posiadasz, znajdziesz w szufladzie mojego biurka oddzielną kwotę pieniędzy. Przeznaczam ją na twe osobiste wydatki, aż do dnia w którym będziesz mógł otworzyć testament.

Główny majątek mój złożonym jest u bankiera Händla przy ulicy Dôme. Od dawna procenta dołączane są do kapitału. Tytuł własności tego majątku zapisanym jest na moję... to jest na mego spadkobiercę i wyrażony w testamencie. Nie będzie on wydany, jak tylko rzeczywistemu dziedzicowi. Uważaj! Mogę ci ufać w zupełności, znam bowiem dobrze całe twe życie. W tym liście mieści się mój testament, nie dotkniesz go jednak, aż w oznaczonym czasie. Żadna ciekawość, żaden kaprys, żadna chęć dowiedzenia się czegoś niech cię nie wiodą do złamania pieczęci przed oznaczoną chwilą, w której masz wykonać mą wolę.

— A kiedyż chwila ta nastąpi? — pytałem nieśmiało.

Podniósł zwolna głowę, pakiet z drżącej wypadł mu ręki, a wskazując na portret zawieszony nad łóżkiem, na owę głowę kobiety, wychylającą się z ciemnego tła obrazu.

— Gdy głowa ta stanie przed tobą żywa i powie ci moje nazwisko—odrzekł uroczyście,—wtedy otworzysz testament.

Zerwałem się szybko. — Widocznie on jest szalony! — pomyślałem sobie.

Starzec, opuściwszy rękę, patrzył na mnie uważnie i dziwny uśmiech wybiegł na jego oblicze.

— Sądzisz żem obłąkany... nieprawdaż? — wyrzekł, — zapewniam cię jednak, że w pełnej sile mam wszystkie władze umysłu. Oto prawa ma ręka — dodał wskazując, — to lewa, a przedemną ty stoisz, siostrzeniec mój Erwin Imhof. Tam, ponad łóżkiem wisi portret, który nigdy z ram wyjmowanym nie był, więcej szczegółów powie ci testament, oto ostatnia ma wola. Żyj tu i pracuj spokojnie.

A gdy pewnego dnia ów portret ożyje i wymówi przed tobą me imię, otwórz papiery i dowiedz się o warunkach, jakie one zawierają. Gdyby jednak po upływie lat dwudziestu ów portret nie ożył i nie zapytał się o mnie, wtedy wszystko należeć będzie do ciebie, jak to wyraziłem w testamencie. Przekonasz się wtedy, czy byłem szalony. Będę natenczas zmarłym od dawna już być może, ty jednak będziesz mógł umrzeć spokojnie w tym domu, jaki ci pozostawiam. Przysięgnij mi, że wykonasz ze czcią religijną to o co cię proszę, w imieniu zmarłego mojego brata, a ojca twojego.

Czułem, że serce boleśnie mi się ścisnęło, nie byłem wstanie zebrać myśli.

— Przysięgam, stryju!... — odrzekłem zwolna po chwili, podając mu rękę.

— Dobrze! — odpowiedział, — wróć teraz do swojego pokoju i nie wychodź, aż po moim odjeździe. Mieszkańcy ulicy tej wiedzą że wyjeżdżam i że przez ten czas ty będziesz rządził mym domem. Nie zatrzymuj się przy drzwiach, proszę, nie odprowadzaj mnie na schody. Skoro usłyszysz turkot odjeżdżającego powozu, zejdź do pokoju. Znajdziesz tu starą służącą i obejmiesz zarząd domu. Książki z mej biblioteki przydatnemi ci być mogą, jest ich znaczna liczba, a między niemi rzadkie i cenne egzemplarze. Lecz jeszcze jeden szczegół — dodał po chwili.

Oblicze jego blade, zmartwiałe już prawie, nagle się ożywiło, oko mgłą zasnute żywym zajaśniało blaskiem, podniósł powtórnie rękę w stronę portretu, mówiąc:

— Oryginał tej postaci umarł... nieprawdaż?

— Tak sądzę — odpowiedziałem, — ten portret jest starym.

— A więc wyobraź sobie, że starość i zniszczenie zostawiły na tej postaci też same ślady, jakie czynią na różowych policzkach młodości o białej, delikatnej cerze i oczach o błękitnym lazurze. Duszy jedynie dosięgnąć one nie zdołają, ona się odbija odnawia zawsze z jednaką czystością w rysach twarzy człowieka, czyliby one młodocianemi lub zmienionemi i zestarzałemi były.

— Czy poznasz, powiedz mi, tę postać?

— Tak mniemam — patrząc na portret, odpowiedziałem.

— A więc... podaj mi teraz skrzypce, nie słyszałeś mnie jeszcze nigdy grającym, wszak prawda?

— Nigdy! lecz wiem, żeś był wielkim artystą.

— Tak... byłem nim niegdyś, lecz teraz smyczka utrzymać w ręku już nie jestem wstanie.

— Palestrina... Arming!—wołał, podnosząc obie ręce wgórę, — o! mistrze moi... ileż czasu upłynęło, jakeście do mnie nie przemawiali. Nie chcę słyszeć teraz swoich nieharmonijnych tonów, zabieram jednak z sobą te skrzypce. Być może że zejdą oni ku mnie choć raz jeden jeszcze, ci nieśmiertelni, po-

nieważ kres mego życia się zbliża. Przez długie lata nie widziałem nikogo, oprócz nich tylko... Tak! oprócz tylko nich samych!

Serce mi się rwało boleśnie, gdym słyszał te słowa zrozpaczonego starca. Podałem mu skrzypce i smyczek. Ujął je z trudnością, a z instrumentu wybiegł dźwięk słaby i cichy. Pociągnął powtórnie smyczkiem po strunach i ton długi, rzewny, zadrżał tęskliwą skargą w powietrzu.

Starzec opuścił ręce.

— Daremnie! — rzekł, smutnie potrząsając głową.

Po raz pierwszy wtedy myśl mi błysnęła, iż to nie starość tak przygnębiła tego człowieka, lecz jakaś boleść ukryta, rwąca. Podszedłszy, pochyliłem się z współczuciem ku niemu, lecz on, żywo podniósłszy głowę:

— Odejdź! — wyszeptał, — odejdź... pamiętaj coś mi zaprzysiągł! Wspomnij na pamięć ojca swojego!

— Jestem posłuszny — wychodząc, odpowiedziałem.

IV.

Słońce nie oświetlało nigdy w zupełności ciasnej i wzgórzystej uliczki, przy której stał dom mego stryja, ozłacając jedynie frontowe okna kamienic.

Wodotrysk szemrał cicho na roku zaułka. Naprzeciw mieszkania naszego umieścił się warsztat rękodzielniczy, gdzie heblowano i piłowano drzewo. Jakiś młodzieniec przechodzący nucił w oddaleniu.

Na drugim piętrze w przeciwległym domu, młoda dziewczyna polewała kwiaty w doniczkach, pierwsze piętro niezamieszkałem było, okna przysłonięte storami. Ptaki świergotały gdzieś wgórze, ponad dachami kamienic.

Oprócz tej odrobiny ruchu i życia milczenie panowało w zaułku. Nagle głuchą tę ciszę przerwał turkot powozu, zatrzymującego się przed domem. Odszedłem od okna, a siadłszy na starej sofie, słuch natężyłem.

Drzwi w naszym domu otwierano i zamykano kolejno, kroki starego Franciszka słychać było w korytarzu, a obok drugie lżejsze nieco, potem chód ciężki, jakgdyby z trudem wlokącego się człowieka.

Podszedłem ku oknu, pociągniony tam dziwną jakąś siłą.

Franciszek przy pomocy powożącego prowadził mojego stryja, dopomagając mu umieścić się wgłębi powozu. Starzec nie obejrzał się wcale, jęczał tylko scicha, chwytając sztywniejącemi palcami ramię swego sługi.

Franciszek siadł obok swego pana, zatrzasnął drzwiczki i powóz z głuchym turkotem oddalał się zwolna. W bramie domu ukazała się jakaś stara kobieta czysto i schludnie ubrana, której dotąd niewidziałem wcale.

Gdy powóz zniknął, weszła, zamknąwszy bramę za sobą. Wtedy spostrzegłem, że robotnicy przerwali pracę w warsztacie, że dziewczyna z drugiego piętra zpoza kwiatów wychyliła głowę i że chłopiec jakiś, idący z dzbankiem po wodę, patrząc na powóz, przystanął, poczem wszystko zniknęło i uliczka w zwykłe zapadła milczenie.

Westchnąwszy ciężko, wyszedłem z swego pokoju. Z korytarza dostrzegłem drzwi do pokoju stryja naoścież otwarte i starą ową kobietę w progu stojącą.

Zbliżyła się ku mnie, składając ukłon głęboki.

— Chciałam pójść właśnie do pana — wyrzekła; — jestem siostrą Franciszka i mam podobno odtąd usługiwać panu.—Chciała coś mówić więcej, gdy od strony pokoju mojego stryja dobiegł jęk głuchy. Rzuciłem okiem w głąb izby. Medor, wysunąwszy się z trudem zpod krzesła, skomlał żałośnie. Byłem więc odtąd u siebie i sam w nowym swojem mieszkaniu.

V.

Pokój oświetlały purpurowe promienie zachodzącego słońca rzucając, czerwone, fantastyczne cienie na ściany, stare sczerniałe meble i tajemniczy portret kobiety.

Usiadłem przy stole, zamierzając oddać się pracy. Przedemną leżały książki, a między niemi „Proteusz piekielny" i kajet z czystego papieru.

Piękna młodociana głowa kobiety, którą zachodzące słońce zalewało potokami purpurowego światła, życiem drgać się zdawała.

— Jakaż tajemnica spoczywa w tym obrazie? — pytałem sam siebie. — Kto była ta kobieta, oddawna nieżyjąca zapewne?

Zmarła nieodmiennie przed stu laty, co wskazywało dawno już wyszłe z mody utrefienie jej włosów.

Jakąż mogła ona mieć łączność z życiem mojego stryja? Gdy twarz ta ożywi się i wymówi przedemną nazwisko starca, ja mam wtedy złamać pieczęć testamentu!

Było to szaleństwem, lecz to szaleństwo krępowało mnie złożoną przysięgą. Było szaleństwem zarówno z mej strony dać się do tego stopnia owładnąć uczuciu. Lecz oto mój „Proteusz" i proces „Małgorzaty Hamerling," oskarżonej o czarnoksięztwo w 1612 roku.

Dlaczego jednak ten portret przez malarza wykończonym nie został? Być może, że dama ta żyła niegdyś w tym domu? Była, być może, patrycyuszką bogatą, piękną i dumną. Może ów malarz, ukochawszy ją, portret rozpoczął, a namalowawszy głowę z miłością, umarł, nie skończywszy dzieła?

Promienie słońca nagle zagasły, ciemno się zrobiło w pokoju. Czyste kartki kajetu leżały przedemną, „Małgorzata Hamerling" oczekiwała dotknięcia piórem.

Sięgnąłem w stronę dzwonka, aby stara służąca przyniosła mi światło.

A być może, że kobieta owa na portrecie miała tylko twarz tak piękną? Postać jej szpeciła jaka ułomność, może była garbatą, a ztąd nie chciała umieszczać na portrecie swej nieforemności?

Noc roztoczyła się wkoło mnie, milczenie głębokie zaległo dom cały. Byłem niespokojny, dziwnie wzburzony i drżący. Nagle wybiegła gdzieś z pobliża skarga cicha, żałosna. Co to jest? Zadrżałem, włosy mi stanęły na głowie. I stałem się łupem tej trwogi, jaka owłada człowieka w starych mieszkaniach pełnych legend i zbrodni tajemniczych; ciemność zwiększała się, a z nią i przestrach mój razem. A pośród tego ponurego milczenia, tuż przy mnie czy gdzieś podemną rozległ się jęk cichy.

Nakoniec zdołałem zapalić lampę.

Był to stary, biedny Medor, który tam pod fotelem stryja, drżąc na całem ciele, złamany wiekiem, z mgłą zasnutemi oczami, wywieszonym językiem, chrapał, oddychając zaledwie.

Jeszcze jedno przygłuszone szczeknięcie, jęk jeden, potem ostatnie drgnienie i padł bez życia.

Drżąc cały, postawiłem lampę na stole i usiadłszy pomyślałem, iż chwila ta jest również, być może, chwilą zgonu moje stryja. Zkąd mi ta myśl przyszła, sam nie wiem.

A portret kobiety patrzył wciąż na mnie nieruchomy, z oczami lekko zaczerwienionemi, jak gdyby płakać tylko co przestał. Lampa spokojnie płonęła, portret nie zmienił wyrazu twarzy, trup Medora leżał u nóg moich; wszystko to było śród głębokiego milczenia i ciszy, przerywanej jedynie szmerem robaków drzewnych, toczących blat stołu, i szumem wichru, jaki od czasu do czasu w szyby uderzał.

VI.

Żyłem tak do jesieni w tym domu samotnym, ponurym, przez czas zczerniałym. Niepodobna mi jednak było pracować; „Proteusz piekielny" i historya Hamerlingów drzemały obok kajetu, rozpoczętego zaledwie.

Trawiłem noce bezsenne, błąkając się po tych pustych pokojach, między staremi meblami, nigdzie odnaleźć nie mogąc spoczynku ani spokoju.

Burze jesienne huczeć poczynały, wkradając się aż do tego ciasnego i oddalonego zaułka, niosąc tumany kurzu i skrzypiąc chorągiewką na dachu. Śród szumu tego zdało mi się, że słyszę dźwięki melodyjne skrzypców, co napełniało mnie trwogą. Pozostałe skrzypce po stryju Irneriusie skarżyły się bezustanku na osierocone ognisko, owo domowe ognisko, gdzie stryj mój żył przez długie lata samotny z swą ciężką tajemnicą, zdala od ludzi.

Rozmyślając nad tem podczas długich nocy w pół sennem marzeniu, albo na jawie, pełen trwogi w pokojach, gdzie przerażał mnie odgłos własnych kroków, zrosłem się, rzec można, z ową tajemnicą. Gdzie jednak jej rozwiązanie? W testamencie mojego stryja, niemym, ściśle zamkniętym, bronionym złożoną przezemnie przysięgą.

Byłem sam na świecie, żadna ludzka dusza nie zapałała ku mnie przyjaźnią, żadne uczucie miłości dla jakiejkolwiek z istot żyjących nie rozgrzało mojego serca, tego serca starego studenta. Nawet ów pociąg do odkrycia tajemnicy stryja zwolna przygasał we mnie w owem samotnem mieszkaniu, gdzie tajemniczość ta zdała się krążyć w powietrzu, w owych milczących meblach, w wielkich czarnych cieniach rysujących się na ścianach, w odgłosie własnych mych kroków i w owych marzeniach duszy zgorzkniałej, jaka bez miłości i celu oddała się studyom wieków zamarłych, a która w noce burzliwe drżała czując się samą na świecie, jakby w obszarze bez końca otoczonym nocą, a chłostanym wichrami.

W długie jesienne wieczory szedłem niekiedy do winiarni, znajdującej się na zakręcie uliczki, gdzie zawarłem parę znajomości, z jakimś ponurym doktorem i urzędnikiem od podatków bardzo gadatliwym.

Z nimi to rozmawiałem aż do dziesiątej wieczorem, poczem wracałem do domu.

A w snach swoich słyszałem słodki dźwięk skargi tonów Palestriny, wydobywany ze skrzypiec drżącemi rękami mojego stryja. Dźwięki te wzmacnia-

ły się, stawały coraz wyraźniejszemi, coraz bardziej potężniały.

Wtedy zrywałem się z łóżka pośród tych snów gorączkowych, zapalałem świecę, a oczy portretu kobiety patrzyły na mnie z niewzruszoną powagą. O! oczy cudowne, gdzież wy jesteście? Czyliż blask życia kiedyś w was zapłonie? Dusza żyjąca czy użyczy światła całej tej postaci? Czyliż zatrzymacie się na mnie kiedykolwiek wraz ze szczęścia nadzieją?

Lecz dokądże ja biegnę w marzeniach? Czyliż winienem życzyć wypadku, który, napełniwszy mnie grozą przywieśćby mógł do istotnego szaleństwa? Byłem podrażniony nerwowo, ciężko podrażniony. Czułem się chorym. Ach! gdybym choć nie był tak osamotniony! Samotność ta była przyczyną cierpienia, które owładało mną coraz silniej.

Nie miałem przyjaciół i szukać ich nie chciałem, Inni młodzi ludzie mają namiętności, dążenia, cele i smutki niekiedy.

Smutki... ach! aby je mieć, na to kochać trzeba, a ja kogóż kochać miałem?

Ażeby kochać, trzeba by przemówiło serce, a moje nieme dotąd było zupełnie. Gdybym nawet ukochał, nie śmiałbym tego powiedzieć.

Zagłębiałem się w poduszki, płakać pragnąłem. Na ulicy wiatr huczał jesienny, wbiegłszy w zaułek, wydobyć się ztamtąd nie mógł i świszczał, jęczał, rozbijając się o murowane ściany kamienic.

Czyż jednak burza hucząca nazewnątrz mniej silną była od tej, jaka wrzała w głębi mej duszy? Czyliż szaleństwo starca i mnie się udzieliło zarówno?

Obłąkanie umierającego mogłoż li niepodobieństwo zrobić możliwem? Portret wiszący naprzeciw mnie miał więc ożyć kiedyś? Być może że spełnienie przepowiedni starca i odkrycie tajemnicy zbliżały się na skrzydłach tego huraganu? Tymczasem brzęczenie szyb, szum wichru w korytarzu, szmer robactwa toczącego drzewo i blask migotliwy świecy zlewały się w jedno. Nagle świeca zagasła, — ciemność i cisza. O! oczy niebiańskie kobiety, czyż i wy macie zagasnąć dla mnie na wieki?

Po burzach jesieni nastąpiły burze i śniegi zimowe. A ja wciąż błąkałem się po tych ponurych, samotnych pokojach, blady, wycieńczony, bez wypoczynku, i kajet mój leżał ledwie zaczęty obok „Piekielnego Proteusza" i „Małgorzaty Hamerling."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* **Szpital dziecinny** przy ulicy Aleksandryi zostanie rozszerzony, dzięki ofiarności jego fundatorki, znanej z dobroczynnej szczodrobliwości hr. Augustowej Potockiej. Pani ta zakupiła przylegającą do szpitala kamienicę, która, odpowiednio do potrzeb zakładu, przebudowaną zostanie. Fakt ten notujemy zarówno ze względu na jego znaczenie dla dobra publicznego, jak z obowiązku zaznaczania czynów szlachetnych.

* **Puszcza**, siostra rodzona Studzieńca, osada karna dla małoletnich przestępczyń założona i urządzona za inicyatywą, staraniem i pod kierunkiem „Towarzystwa osad rolnych," od 14 b. m. już zupełnie gotowa jest do przyjęcia kwalifikujących się na pobyt w niej małych dziewcząt.

Pomyślne rezultaty, jakie przez lat kilkanaście, d czasu swego założenia, wydał Studzieniec, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do kierunku, w jakim nowy zakład rozwijać się będzie, a zarządowi Towarzystwa osad rolnych należy się wysokie uznanie, że trudności, jakich nieraz przychodzi mu doznać w administrowaniu Studzieńca, nie odstraszyły go od wzięcia na swoje barki nowej, świeżo otwartej osady.

* **Przeniesienie szpitala Dzieciątka Jezus** na terytoryum folwarku świętokrzyzkiego coraz bardziej zbliża się ku urzeczywistnieniu. Ministeryum spraw wewnętrznych upoważniło pana Prezydenta miasta do ułożenia ostatecznych warunków ze spółką kapitalistów francuzkich, podejmującą się zbudowania nowych gmachów szpitalnych wzamian za objęte w posiadanie place i zabudowania dzisiejszego szpitala przy placu Wareckim. Ogólna podstawa umowy jest taka, że kapitaliści francuzcy biorą place i zabudowania przy placu Wareckim w cenie 1,400,000 rs., zobowiązując się wybudować nowy szpital według wskazanych sobie planów; wrazie gdyby koszta budowy przeniosły 1,400,000 rs., miasto, po ukończeniu budowy, zwróci im nadwyżkę; w przeciwnym razie oni miastu dopłacą różnicę w gotówce.

Nie ulega wątpliwości, że szpital, który swego czasu zbudowany na krańcu miasta, dziś znalazł się w jego środku, zyska na tem przeniesieniu go na świeższe powietrze; zyska na tem pod względem zdrowotnym i miasto.

* **Rozdanie nagród** z zapisu Szymona Krzeczkowskiego wychowankom zakładu sierot przy Towarzystwie dobroczynności, które oddane na służbę dłużej niż 5 lat w jednem miejscu przesłużyły, nastąpi w dniu 24 Grudnia. Kandydatki winny się zgłaszać do siostry miłosierdzia Wiercińskiej i na jej ręce złożyć świadectwo dobrego sprawowania się od pani u której służyły i świadectwo właściciela domu w którym są zameldowane.

* **Biuro informacyjne od nędzy wyjątkowej**, mieszczące się przy ulicy Tamka pod numerem 35, w zakładzie Św. Kazimierza, otwarte jest codziennie od godziny 3 do 5 po południu i przyjmuje wszelkie datki, zarówno w pieniądzach, jak w naturze. Wobec nadchodzącej zimy, która nędzy wyjątkowej wyjątkowo daje się we znaki, adres tego biura przypominamy sercom litościwym.

* **Wezwanie**. Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych wzywa swoich członków korespondentów o nadesłanie jaknajrychlejsze pieniędzy za sprzedane przez siebie akcye, wraz z listą nowych członków, co jedno i drugie koniecznie zarządowi towarzystwa jest potrzebne przed zakupem obrazów do losowania, które do ilości funduszów i członków zastosować trzeba. Rzecz niby to prosta i naturalna, a jednak w wezwaniu tem odzywa się pewna fałszywa nuta; gdyż albo członkowie korespondenci sami z siebie, bez przypominania, spełniliby na czasie swój obowiązek, a w takim razie wezwanie ze strony zarządu jest conajmniej zbyteczne, albo też wezwanie to wywołane zostało istotną potrzebą, a w takim razie panowie korespondenci w nieszczególnem rekomendują się świetle.

* **Gwiazdka**, która, mając sobie tego roku zagrodzony wstęp do sal ratuszowych, odbędzie się w salonach resursy Obywatelskiej, już się organizuje.

Na odbytem w tym celu posiedzeniu w Towarzystwie dobroczynności wybrano komitet gwiazdkowy, z osób wpływowych złożony, a pod prezydencyą p. F. Górskiego zostający, który zajmie się obmyśleniem sposobów urozmaicenia Gwiazdki tak, aby ponęta nowości przychodziła w pomoc uczuciom filantropijnym. Zadanie to zaprawdę niełatwe; od czasu bowiem jak dawny, stereotypowy „Bazar," który się odbywał zwykle w salach Redutowych, urozmaicać poczęto, wyczerpano już prawie wszystkie środki zaciekawiania i ściągania publiczności. Gwiazdkowe widowiska odbywały się nawet w cyrku (przy ulicy Ordynackiej), który naturalnie stanowił daleko obszerniejszy i podatniejszy do urządzenia czegoś niezwykłego teren, aniżeli sale resursowe. Tem większa też będzie zasługa komitetu, jeśli się z poruczonego sobie zadania z powodzeniem wywiąże.

* **Nowa propozycya**. Kapitaliści francuzcy, którzy chcą nam zbudować bulwar nad Wisłą, nowy szpital Dzieciątka Jezus na folwarku świętokrzyzkim, wyłożyć nam główniejsze ulice bruk kiem drewnianym i t. d., pragną również podjąć się za pewną naturalnie umówioną cenę, ogólej konserwacyi bruków w mieście naszem.

Przedsiębiercy ci chcą się zobowiązać mocą tejże umowy, do położenia corocznie pewnej ilości nowych chodników betonowych i zabrukowania pewnej przestrzeni ulic kamieniem kostkowym. Chodzi tu oczywiście o owę cenę, jakaby w umowie naznaczona została; ale gdyby cena ta była taką, że zarząd miasta mógłby się zgodzić na nią, to przyznać trzeba, iż kontrakt taki byłby bardzo dogodny i uleczyłby może nareszcie miasto nasze z tej chronicznej choroby, jaką w organiźmie jego bruki stanowią.

Mimowolnie tylko nasuwa się pytanie, dlaczego żaden z naszych „przedsiębierców" nie wpadł na podobny pomysł i trzeba było koniecznie, żeby dopiero cudzoziemiec wystąpił z takim projektem?

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Tekli Pień... w Nowogrodzie. Po los na loteryą klasyczną zgłosić się można do „kantoru loteryi Maurycego Nelkena, w Warszawie;" całkowity los kosztuje do jednej klasy (jest ich 5) rs. 12 kop. 12, można jednak nabywać go ćwiartkami, po rs. 3 kop. 3 każda. Pośpiech jest konieczny.

Redakcya „Tygodnika mód i powieści" przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

Numer 48 wyszedł z druku i zawiera:

Konstantynopol (z drzeworytem). — Pogadanka naukowa. — Jesienią (wiersz). — Z dziejów starożytnej Grecyi.—Czyn nauczający. — Na brzegach oceanu Lodowatego (z drzeworytem). — W niewoli u Arabów (powieść z drzeworytem). — Wytrwałością a pracą (powieść). — W dodatku: Sprzeczka Niusi z Zdzisiem (z drzeworytem). — Pazurki kotka i języczek Jadzi (wiersz). — Ludek. — Grzeczny braciszek. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówki.

☞ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Ноября 1891 г.
Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**
Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.
Dodatek.